

CIEŃNIE

Słowińska

Anna Dalia

“Czy zło naznacza na zawsze?”
II część trylogii

CIENIE Słowińska

Anna Dalia

© Copyright by Anna Dalia Słowińska & e-bookowo

Projekt okładki: Katarzyna Olter
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN e-book: 978-83-8166-094-5

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2020

Rozdział 1

Małgorzata

Ostatnio czuję się całkowicie wydrążona z radości, tkwiąc beczynnie w domu w stanie zawieszenia. Jestem zdruzgotana, od kiedy dotarło do mnie z całą świadomością, że Wojtowicz jest moim ojcem. „Omijać dużym łukiem” – mówiła dawno temu moja mama. Omijałam go trzydzieści dwa lata. Prawda, że zupełnie nieświadoma, kto nim jest.

A teraz? Teraz już wiem. Nie mam wątpliwości i to jest straszne.

W głowie czuję kulę ognia i ogłuszający krzyk: To mój ojciec... Mój ojciec. Groźny psychopata.

Myśli kotłują się: Dlaczego on zabijał? ŚWIRUS. Bo to przecież nie tylko chora psychika... Ten jego popęd, który pchał go do wielu zabójstw, ta jego pasja, z jaką typował kobiety, bezwzględność, furia, determinacja... I ciągle mało i mało, i ciągle niedosyt.

Próbuję bezskutecznie odgonić te myśli, bo mi bardzo szkoda, ale one krzyczą w mojej głowie niemal na okrągło. Powtarzam sobie, usiłując być silną jak kiedyś kobietą: Małgorzato, Małgorzato Wiśniewska – gdzie ty jesteś? Czy musisz stać taka pochylona z worem kamieni na plecach!? Wyprostuj się. Wyprostuj. Zrzucić ten balast. Dokąd cię zaprowadzi!?

Ze względu na Zbynia, który niebawem ma się urodzić, powinnam przezwyciężyć te emocje – głupie, bez sensu. Dla dobra

dziecka. I dla Zbyszka, który się martwi. Wiem o tym doskonale.

Tylko jak?! Jak to zrobić?

Czasami się to udaje. Czasami dotykam mojego brzucha i cieszę się, że jestem w ciąży, że Zbyszek, od niedawna mój mąż, wrócił do zdrowia, choć sprawa wyglądała beznadziejnie.

Dziś znowu jeden z tych przygnębiających dni. Zaczepnęłam powietrza, jak ryba wyrzucona z wody.

Zrobiłam krok do przodu i weszłam do kuchni. Szklanka wody nie pomogła mi, choć ze wszystkich sił próbowałam przekonać samą siebie, że tak naprawdę to Wojtowicz nigdy nie był moim tatą. Nigdy! Nie znałam go przecież, nie miałam pojęcia, że istnieje taki realny, nie z mojej bajki. Ale niestety wiem, jaka jest prawda. Siedzi obecnie w areszcie śledczym w Chmielowie. Całkiem niedaleko od Nowej Dęby.

Znowu zawirowało mi w głowie. Żadna brzytwa nie była w stanie wyciąć go z pamięci. Pomyślałam, że koniecznie muszę się skontaktować ze swoim terapeutą.

Spojrzałam na biblioteczkę; stare książki, klasyka, beletrystyka, literatura prawnicza i inne, stoją, jak stały równiutko na półkach; na baczność, zakurzone. Wcale nie chciało mi ich odkurzyć ani posprzątać w domu. Nic mi się nie chciało. Czy to już depresja? W każdym razie beznadziejna.

Życie wyprane, tyle że w brudnej wodzie. I jeszcze wuj... Już brakowało mi cierpliwości. Jak miałam z nim rozmawiać? Nie, nie zniosłabym widoku jego kurczącej się twarzy. A poza tym okropnie się bałam, że jeśli zacznę odgrzebywać temat, sprawa nabierze realności i powrócą do niego wszystkie koszmary, czy jakby to nie nazwać, że wujek znów wpadnie w dołek. Diagnoza lekarza była jak wiszący miecz nad jego głową: Alzheimer. Kroczył.

Wuj raz miał lepszy dzień, raz gorszy, dzisiaj miał ten lepszy. Spoglądał mi poważnie w oczy i mówił przyciszonym tonem:

– Wiem, co mi jest, Małgosiu. Jak już zupełnie przestanę kojarzyć, oddaj mnie do zakładu. Już poszukałem. Jest dobry.

Zmierzył mnie znowu zagadkowym spojrzeniem znad opadających do połowy nosa okularów i zaśmiał się z własnego żartu, nie żartu a już po chwili popadł w otępienie.

Zmarszczyłam nos.

– Będzie wszystko dobrze, wujku... Zostawmy te wszystkie rozmowy na później. Na później. – Staralam się powściągnąć irytację. Nie, nie miałam ani sił, ani cierpliwości.

Teodor pokiwał głową. Tęczówki jego oczu były szare jak kamienie.

– Napisałem testament – powiedział. – Jest w biurku, w szufladzie. – Wskazał ręką na biurko.

Nie protestowałam. Byłam zbyt zmęczona, a poza tym dobrze wiedziałam, że kiedyś ten moment musi nadejść. To było nieuchronne.

Rozdział 2

I tak codziennie, co kawałek szklanka zimnej wody, aby uspokoić oddech. I co kawałek trauma. No bo, jakże ma jej nie być? – Wojtowicz wciąż nalegał na spotkanie, ba, jakby tego było mało, przekonywał mnie również komisarz Kwiatkowski, że powinienam pojechać do aresztu śledczego na widzenie.

– Jesteś silną kobietą, Małgosiu. Poradzisz sobie. Wojtowicz popełnił tyle zbrodni, a udowodnimy mu jedną. Pomyśl tylko, ile od ciebie zależy. Potraktuj go jak zwykłego klienta. Spróbuj przynajmniej. Proszę, wiem, jakie to dla ciebie trudne – powiedział.

Za każdym razem, gdy usiłował mnie przekonać, był zakłopotany. A ja zbuntowana.

– Nie, do jasnej cholery! NIE!

Nie wypowiadałam oczywiście tego na głos, a może powinienam. Jakieś niewidzialne lodowate ostrze przesywało mnie zawsze na wskroś, atakiem paniki i znowu wpadłam w dołek. Coraz głębiej. Nic już nie pozostało z silnej, opanowanej pani mecenas.

Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, jak i z tego, że ŚWIRUS dostanie dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat odsiadki za zabójstwo Jagody i wiem od Jerzego, że wszystkie swoje wcześniejsze zeznania odwołał i trudno będzie mu cokolwiek udowodnić. W każdym razie musi to długo potrwać, a powinien

przecież siedzieć do końca swoich dni w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych, z którego się nie wychodzi. W zakładzie dla bestii.

Szarpnęłam się znowu jak pies na uwięzi. Przewinęłam rolki pamięci: – Mama, babcia, Wanda, Jagoda, Walewska i te inne, o których opowiadał mi w nadziei, że będę jego obrońcą. To było chore. Nie zamierzałam. Przenigdy. Wszyscy, najgorsi przestępcy, ale nie on!

„Czy aby na pewno nie jest pani moją córką?” – obijało się wciąż po głowie. Żołądek się kurczył. Niech to szlag, niech to szlag ognisty!

Przytrzymałam palcem nos, który się marszczył dokładnie tak samo jak u niego i poczułam się jak węzeł, który ktoś mocno zaciska, a moje całe ciało zaczyna się kurczyć. Myśli, które usiłowałam wyrzucić, wracały jak bumerang, odbijając się od czaszki i wracając do mózgu, wraz z tysiącami innych niewypowiedzianych. – *A jeżeli Wojtowicz...*

Tak, byłam pewna, że dobrze odczytałam jego wzrok przy naszej pierwszej rozmowie. Patrzył kpiąco, ale i pożerał mnie oczami. Chłonał mój obraz, jakby chciał go zapamiętać do końca swoich dni. I to nie był wzrok mordercy. O Boże! To nie był wzrok mordercy, wielokrotnego zabójcy!

– *Czy pani, aby na pewno nie jest moją córką?*

– Nie! Był nim wspaniały mężczyzna...

Cisza. Wymowna cisza. I szpile w jego wzroku, które jednak nie raniły. Zapalone tęczówki jasnozielonych oczu. Tak może patrzeć ojciec na córkę, który się z nią żegna. Tak to sobie wyobrażałam.

Nigdy nie miałam w końcu ojca.

– Był??

Oczy Wojtowicza zgasły od jednego słowa:

– *Był?*

Ale tylko na chwilę zgasły, potem znowu rozbłysły. Wojtowicz chciał utrzymać ze mną kontakt. Żywy kontakt. Wcale mu

nie zależało na obronie. Mógł mieć każdego obrońcę, bo miał pieniądze.

– *Czy będzie pani moim obrońcą? Proszę...* – Nadzieja na moment zabłysła w jego oczach.

– *Przenigdy!*

– *Ale dlaczego nie?? Przecież wszystko powiedziałem... Wszystko...* – To zdanie niosło się za mną bardzo długo. I wiatr go nie porwał, i nawałnica. I deszcz nie zmył. I pozostało.

– *Ale dlaczego nie?! Przecież wszystko powiedziałem...*

Te słowa wciąż tkwiły w mojej głowie jak drzazgi, które wgłębiają się coraz dalej, coraz głębiej.

Dlaczego to wszystko jest takie trudne? – pomyślałam z goryczą. – Dlaczego po prostu nie mogę iść do pracy i o wszystkim zapomnieć? Może powinnam uprawiać jakiś sport, gdzieś wychodzić? Stanowczo zbyt dużo czasu spędzam we własnej głowie.

Przełknęłam gorzką ślinę. Zawsze, całe swoje dorosłe życie, byłam precyzyjna i dokładna, wszystko potrafiłam, teraz wszystko stawało się wyzwaniem, na które nie mam siły i byłam jednym kłębkim nerwów. A przecież musiałam myśleć nie tylko o sobie, ale także o i dziecku, o Zbyszku i o wujku. Musiałam być silna.

– Nie możesz spać? – usłyszałam ciche, ale było w tym głosie męża napięcie niezadanego do końca pytania.

Widziałam w jego oczach troskę. Zwęzłały się, zupełnie jakby posiadał nadludzką zdolność prześwietlania człowieka na wyłot i chyba widział. Tyle, że był cierpliwy i taktowny, a co mnie drażniło. Wszystko mnie drażniło.

Omijałam wzrok Zbyszka – nie, nie chciałam mu pokazać, że jestem taka słaba, a przy tym nie miałam siły czy woli, żeby walczyć z tym brakiem kontroli nad sobą.

– Ciągle o nim myślisz? O Wojtowiczu? – Zbyszek pogłaskał mnie po rękę.

Zatopił niespokojne spojrzenie w moim uciekającym wzroku.

Tak, myślałam o nim ustawicznie. O Wojtowiczu. Byłam krwią z jego krwi, choć tak bardzo chciałabym to z siebie wyprzeć.

– Nadal się zadrezczasz? – zapytał powtórnie.
– Nie zadrezczam, tylko zastanawiam.
– Masz swoje teorie na ten temat, tak? Nie chcesz o tym mówić?
– Zgadza się. – W moim głosie zabrzmiała nowa nuta frustracji i zdawałam sobie z tego sprawę. – Rzecz w tym, że nie lubię niedokończonych spraw. A on jest niedokończoną sprawą, która uwiera... – Urwałam, nie kończąc myśli.

Zbyszek pocałował mnie.

– Spróbuj usnąć... Jutro będzie lepiej.

– Łatwo się mówi...

– Wiem – przerwał mi łagodnie.

Wtuliłam się w niego, a potem wstałam.

– Muszę się napić wody, zaschło mi w gardle i muszę zerknąć na Teodora. Był dzisiaj bardzo nerwowy. Nie uważasz, Zbyszek, że jego stan zdrowia z dnia na dzień pogarsza się?

Zbyszek kiwnął głową. Wszystko widział. Zapadła chwila powściągliwej ciszy.

Mąż spoglądał na mnie przenikliwie. Musiałam widocznie westchnąć albo zmarszczyć czoło, lub w inny sposób dać wyraz wewnętrznej rozterce, bo trącił mnie lekko ramieniem.

Wstałam. Nadal byłam rozdrażniona, choć usiłowałam to ukryć. Podeszłam do okna. Na plecach poczułam dotyk chłodnej szyby balkonowej, ale tylko na plecach. Czoło mnie parzyło. Ba! Całe wnętrze mnie parzyło. Znowu.

– Pójdę do wujka... – powiedziałam cicho.

– Ja do niego zajrzę. Dawałaś mu tabletki? Łyknął czy wypłuł? – spytał mój mąż.

Kiwnęłam głową.

– Łyknął.

Zbyszek przyglądał mi się, jak ze sobą walczę i zaciskam palce. Nie czułam się z tym najlepiej.

– Wyjdę do ogrodu. Muszę przewietrzyć myśli. – Uśmiechnęłam się blade.

Narzuciłam na siebie płaszcz.

– Dobrze. Ja zrobię w tym czasie coś do picia. Może melisę. Porozmawiamy.

Granatowy księżyc wisiał na niebie, walcząc z chmurami. Podmuch wiatru przesłizgnął się przez gałęzie drzew i rozprysnął na mojej twarzy ostatnie krople deszczu.

Postałam przez chwilę nieruchomo w ogrodzie. Przeczesałam palcami włosy i wróciłam do pokoju. Usiadłam sztywno na krześle, nie zdejmując płaszcza.

Zbyszek wszedł do pokoju tyłem, niosąc w rękach dwa kubki herbaty.

– Proszę... Na poprawę nastroju. – Zbyszek podał mi proteinowego batonika. Uwielbiałam je. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Nadal czułam ucisk w gardle, jakby ktoś zaciskał mi rękę wokół szyi.

– Nie mogę sobie poradzić sama ze sobą i pewne, że nigdy nie zdołam zapomnieć, kim jest Wojtowicz – stwierdziłam. – Złe rzeczy zapomina się najtrudniej.

To wiedziałam aż za dobrze. Boże, jak ja go nienawidziłam... Mojego ojca. Wywrócił mi życie do góry nogami.

– Bardzo ci współczuję, Małgosiu... – Zbyszek umilkł zakłopotany i lekko pogładził mnie po włosach. – Teodor śpi. – Próbował mnie uspokoić. – Chciałaś znać prawdę, odkryłem ją, a teraz żałuję – powiedział. – Bardzo żałuje – powtórzył.

– Dobrze zrobiłeś. Musiałam to wiedzieć... – Kąciki moich warg uniosły się nieznacznie.

– Myślę, że czas pomyśleć o zmianie mieszkania, Zbyszku – powiedziałam cichym, ale stanowczym głosem. Konkretnie. Na serio. Całkiem na serio.

– To znaczy?

Wzniósł brwi w górę. Upił łyk herbaty.

– Sądzę, ba, jestem pewna, że powinniśmy wyjechać z Nowej Dęby. Zabrać Teodora i wyjechać na stałe – uściśliłam. – Do Piły. Wciąż mam tam mieszkanie. Już rozmawiałam z Romkiem Niedźwieckim. Mogę do niego wrócić.

Położyłam ręce przed sobą, a następnie schowałam je pod pachami. Wciąż mi drżały.

– Do niego czy do pracy? – Zbyszek wykrzywił w uśmiechu usta, próbując żartem uspokoić moje wnętrze. – A już na poważnie, czy jest ku temu jakiś konkretny powód, oprócz Wojtowicza? – zapytał. – I zdejmij wreszcie ten płaszcz – dodał z uśmiechem.

Zdjęłam płaszcz i przewiesiłam go przez krzesło.

– A czy to nie jest wystarczający powód? Nie chciałbym zostać zidentyfikowana, a coś mi się wydaje, że Wojtowicz nawet z więzienia będzie mnie ostro nękał. Nie uwierzył mi... i niestety jedyną możliwością odcięcia się od niego, jest ucieczka. Niestety – powtórzyłam, gapiąc się tępo w ścianę ponad głową męża.

Zbyszek kiwnął w zrozumieniu głową.

– Chyba tak... A Walewski? Odpuszczasz?

Spojrzał mi w oczy. Walewski to niedokończona sprawa. Powinam to wyjaśnić...

– Wszystko odpuszczam. Zwijamy się. Z dała, może uda się zapomnieć... – dalsze słowa utknęły mi w gardle. Zmusiłam się do przełknięcia śliny.

Zbyszek znowu pokiwał głową.

– To kwestia czasu, skarbie. Jak tam mój synek? Fika? – Zmienił temat.

– Fika. Powinam się cieszyć, a ja...

– To przejdzie. Już niebawem – obiecał. – Szukamy kupca na dom i zwijamy majdan, jak się tylko da najszybciej. Otworzymy w Pile firmę detektywistyczną albo wrócisz do Romka. Do kancelarii.

– Nie, ty będziesz moim szefem.

– A nie jestem?

– Jesteś.

– No, to co taka zmarszczona mina? Wojtowicz wciąż w głowie? Aż tyle zajmuje ci miejsca? – spytał, jakby o tym nie wiedział.

Wykrzywiłam usta.

– Niestety...

– Więc, co? Zwijmy majdan, mam się tym zająć? – spytał jeszcze raz i pokręcił głową. – A teraz idziemy spać, okej?

– Idziemy.

Wtuliłam się w Zbyszka. Jak to dobrze, że jesteś – pomyślałam z ulgą tak wielką, że musiała teraz szczelnie wypełniać mi oba płuca.

Otarł się o mnie całym ciałem. Potem jego ręka wpełzła pod moją bluzę, w górę, na brzuch i aż do piersi.

– Mówiłem ci, jaka jesteś piękna?

Zimne powietrze wsączało się z zewnątrz przez niedomknięte okno. Przykryłam się szczelniej kołdrą i przez chwilę słuchałam, jak deszcz stuka w parapet.

Podmuch wiatru szarpnął oknem, otworzył go szerzej. Wstałam i przymknęłam go. Zaciągnęłam rolety.

Dość mazgajenia – postanowiłam. – Jutro pobiegam. Wypoczę smutki i rozterki. Może nawet pójdę na fitness.

Noc minęła nie wiadomo kiedy, a rano powitał mnie błaskiem słońca, które wdarło się przez rolety. Zbyszek jeszcze spał z wyrzuconymi do góry rękoma. Jak małe dziecko.

Pocałowałam go delikatnie w zarośnięty policzek, na którym widoczne jeszcze były blizny. *Wojtowicz... był ich sprawcą.*

Wskoczyłam na chwilę w napięcie, ale tylko na chwilę, a potem w dres.

Moja trasa to był las. Już bezpieczny i piękny. Sosny i dęby z pożółkłymi liśćmi. Było kolorowo, cudnie, ale już musiałam wracać do domu. Zbyszek już pewnie pojechał do pracy, a ja musiałam zająć się Teodorem. Już na pewno wstał i nie wiadomo, co teraz robi. Niemal się przeraziłam. Biegłam coraz szybciej i coraz bardziej niespokojna. Otworzyłam drzwi spocona jak mysz i usłyszałam jego spanikowany głos:

– Marysiu, Marysiu... ktoś tu jest! I dom podpalił! – krzyczał. – Musimy uciekać, Marysiu. Uciekać, uciekać... – Okrył

się kołdrą, łącznie z głową, a ja poczułam ucisk gardle. Ton głosu wuja poruszył we mnie bolesną strunę. Marysia to moja mama. Teodor tylko ją pamiętał. I pożar.

– Marysiu – wrzeszczał i zerwał się z łóżka. Był półnagi, z kołdrą na głowie. – Uciekaj, uciekaj! Pożar, Marysiu, a ty śpisz – krzyczał spanikowany. Był śmiertelnie wystraszony. Jego oczy błyszczały przerażającym blaskiem. Potem nagle zmatowiały, jak za pociągnięciem różdżki. Jeszcze tylko drżał.

– A gdzie tato? Gdzie? – Rozglądnął się. W rękach miał zapalki. Całe pudełko. – Nie dam, nie dam... – powiedział i schował je do kieszeni piżamy.

Próbowałam mu odebrać te cholerne zapalki, ale zrobił się agresywny.

– Nie dam, nie dam... – powtarzał. Oczy mu błyszczały szaleństwem.

Właśnie do mieszkania wszedł Zbyszek. Spojrzał na mnie niespokojnie.

– Musiałem wrócić... Gdzie byłaś?

– Biegałam. Teodor ma zapalki w kieszeni, zabierz mu.

Skąd on je wziął? – pomyślałam przerażona.

Zbyszek spoglądał na Teodora i na mnie, potem objął mojego wuja mocnym ramieniem i wyprowadził z pokoju.

– Głodny, głodny... – powiedział już w drzwiach Teodor.

Zbyszek wrócił po kilku minutach z zapalkami w ręku, a ja się ucieszyłam, że mam takiego troskliwego męża i pomyślałam, że może to już ten czas, aby oddać wuja do zakładu opieki, który sobie wybrał.

– Już wszystko w porządku, Małgosiu. Dałem mu tabletki – powiedział spokojnym tonem i pokręcił głową. – Znowu gorszy dzień... To ten deszcz. Jak się czujesz, kochanie? – spytał, patrząc mi w oczy.

– Świetnie – odpowiedziałam z sarkazmem. – Wstrząs, adrenalina od rana...

Na moich ustach pojawił się błądy uśmiech, ale jednak uśmiech.

– Dziękuję ci, Zbyszek...

Chwilę patrzyłam na niego wzrokiem wypełnionym żalną wdzięcznością.

Śmieję się – rozkazałam sobie w myślach, ale jakoś jeszcze nie potrafiłam. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

– To minie... to tylko hormony... – Zbyszek starał się mówić pokrzepiającym głosem. Teraz zrobię dobre śniadanko, a ty odbierz komórkę, bo ktoś się do ciebie dobija.

– Słucham?

– To ja – usłyszałam w komórce głos komisarza Kwiatkowskiego.

– Chciałbym porozmawiać. Mogę wpaść wieczorem?

Kiwnęłam do siebie głową. W duchu zajęczałam. Dobrze wiedziałam, co się kroilo.

– Oczywiście, zapraszam na kawę. Przyjdźcie z Bożeną. Jest mi potrzebny dobry psycholog i dobra przyjaciółka. Mam dość.

– Ok. Dziewiętnasta pasuje?

– Pasuje – odpowiedziałam i zabrałam się za porządki.

– Ja odkurzę, a ty się na chwilę połóż. Jesteś bardzo blada. Dobrze się czujesz, kochanie? – Zbyszek zaglądnął mi w rozbiegane oczy. – Włączyć jakąś muzykę? – spytał.

Kiwnęłam głową. Uśmiechnęłam się z przymusem.

Będzie dobrze. Obiecałam sobie. Muszę się wziąć w garść.

Byle mnie Jerzy znowu nie nękał...

Westchnęłam ciężko. Była tylko jedna i oczywista przyczyna odwiedzin komisarza.

Przed dziewiętnastą odezwał się dzwonek u bramki. Komisarz Kwiatkowski jak zwykle był bardzo punktualny. W jego oczach iskrzyła niewyczerpana energia. W oczach Bożeny serdeczność. Od pierwszej chwili spotkania z nimi, sprzed kilku miesięcy, czułam do nich obojga sympatię. Bożena była moim psychologiem i przyjaciółką. Tak właściwie cieszyłam się z tej wizyty, chociaż i miałam swoje obawy.

– Jak się czujesz, przyszła mamusiu? Kiedy to? – spytała Bożena.

– No... jeszcze poczekamy trochę, a czuję się... Hm, jakby tu powiedzieć, jak kobieta w ciąży. – Potarłam oczy i grzbiet nosa.

– Psychika słabiutka? Jak widzę te nasze rozmowy niewiele wnoszą. – Bożena raczej stwierdziła, niż zapytała i spojrzała na mecenasa Wiśniewskiego, który wszedł do salonu.

Wujek był potargany i w porozpinanej piżamie. Widać mu było owłosiony, siwy tors.

– Witam pana mecenas, jak zdrowko? – spytała kurtuazyjnie.

Nie odpowiedział. Spojrzał nieobecny wzrokiem i usiadł w fotelu. Nagle wstał i podniósł rękę w górę.

– Nie poszłaś, Marysiu, do pracy? – zapytał i spojrzał ze złością. – Dlaczego nie jesteś w pracy? A wiesz, że wczoraj był u nas pożar?

Ciężko oddychając, zapadł się znowu w fotelu. Przymknął oczy, potem je otworzył.

– Już przyszedłam z pracy. Jest wieczór, zaraz idziemy spać. Idziemy? Tak? – Chwyciłam go pod pachę. Nie protestował puki co. – Jak tam w sądzie? Wszystko dobrze poszło? Wygrałaś, Marysiu? – zapytał ożywionym tonem.

Kiwnęłam głową.

– Tak, tak... Wszystko poszło, jak należy...

– A wiesz, że wczoraj był pożar? Tato ugasił...

Pokiwałam znowu głową.

– Wiem, tato ugasił, a teraz idziemy spać. Jeszcze tylko zjedz kolację.

– Nie będę jadł! Tylko mnie karmisz tym paskudztwem. Fuj! – zakrzyczał na cały głos.

– No to się chociaż napij...

Z wahaniem pokręcił głową.

– Ja się zajmę Teodorem, a ty zajmij się gośćmi – powiedział spokojnym tonem Zbyszek.

Westchnęłam i ciężko i przysiadłam w fotelu.

– Nie masz łatwego życia... – stwierdził Jerzy, Bożena współczująco pokiwała głową.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała.

– Daję radę... Na razie. A potem zobaczymy – odpowiedziałam, starając się wytrzymać spojrzenie Jerzego. – Raz ma gorszy, raz lepszy dzień. Trafiliście w ten gorszy.

Mocniej ścisnęłam palce dłoni, by ukryć ich drzenie. Miałam dosyć.

Komisarz Kwiatkowski chrząknął, zmieniając temat.

– Rozważyłaś, Małgosiu moją prośbę? Nadal za wcześnie?

Zmusiłam się do uśmiechu. Byłam cała zeszytywniała na myśl o tym, jak niesprawiedliwe potrafi być życie. Ojciec świrus, wuj chory na Alzheimera, a ja mam depresję. Niewątpliwie. Zaraz muszę łyknąć tabletkę.

– A ty ciągle swoje, Jerzy. Już mówiłam – odpowiedziałam niecierpliwie i niegrzecznie.

Nerwowo upiłam łyk herbaty, która od rana stała w kubku i spozwrałam wyczekująco na Jerzego.

Skrzywił się nieznacznie. W powietrzu wisiało coś niedopowiedzianego.

– Więc zdecydowałaś, Małgosiu, że wyjedziesz z Nowej Dęby na stałe? Tak? – upewnił się, spoglądając w moje oczy.

– Tak.

– No trudno. Wiem jakiego rodzaju traumę musiałaś przeżyć. Rozumiem to – powtórzył i westchnął, po czym zerknął na żonę, która siedziała w milczeniu, przysłuchując się rozmowie. Ani myślała mu pomagać.

Nabrałam powietrza w płuca.

– Posuwacie się do przodu w waszym śledztwie? – zapytałam po chwili, zmieniając temat i nawiązując do sedna sprawy. Lepiej mieć to już za sobą. Przez tę wiszącą nade mną historię, czułam się zupełnie zagubiona. Najwyższy czas się odnaleźć.

Komisarz Kwiatkowski z rezygnacją spojrział w ciemność za oknem i znowu westchnął głęboko. Noc zapadała powoli nad lasem, jakby wchłaniała światło z powrotem do nieba.

– Jak wiesz... nie. Nic nie idzie w dobrym kierunku. Nic – odpowiedział. – Wojtowicz wycofał się ze wszystkich zeznań...

– Urwał na moment. Chrząknął i kontynuował temat: – On błaga o spotkanie z tobą, Małgosiu. Jedno spotkanie. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Nie, wcale nie chce, żebyś go broniła. Powiedział, że przyzna się przed prokuratorem do wszystkich zabójstw, które popełnił, nawet tych, o których ci ostatnio nie opowiedział. Do wszystkich – podkreślił. – Postawił jednak warunek – dodał i spojrzał niepewnie w stronę żony.

Milczałam. Przymknęłam oczy, rozważając.

– Jaki? – zapytałam konkretnie, choć już wiedziałam, o co chodzi. Nietrudno się było domyśleć. Po chwili kiwnęłam głową, zaciskając usta. – Dobrze – zgodziłam się szybko, jakby w obawie, że za chwilę się rozmyślę.

Jeszcze tylko myśli pogalopowały jak stado rumaków. Wystraszonych strzałem.

– Zrobić kawę, herbatę? – Zajrzałam Bożenie w oczy.

Żona Kwiatkowskiego pokiwała głową, a następnie spojrzała z wyrzutem w oczy męża.

Jerzy wolno potarł kciukiem górną wargę.

– Dobra decyzja, Małgosiu. Dziękuję – powiedział z ulgą.

Jego twarz rozpromieniła się uśmiechem. Natomiast ja poczułam znowu zmęczenie i ból w plecach oraz karku.

– W więc kawa czy herbata? – powtórzyłam i pokręciłam z dezaprobatą głową.

Decyzja była wymuszona. Wszyscy o tym wiedzieli, łącznie z Jerzym.

– Herbata. Może być zielona. Masz? – odpowiedział. Był zakłopotany, ale z całą pewnością uszczęśliwiony.

Kiwnęłam głową.

– Zielona herbata o tej porze, to prawie jak kawa – powiedziałam, a w moim tonie nie było ani trochę serdeczności gospodyni domu i zdawałam sobie z tego sprawę.

Uśmiechnęłam się przepraszająco.

Bożena spojrzała na mnie uważnie, gdy wychodziłam do kuchni. Jakże dobrze mnie знаła.

– Nie martw się, Małgosiu. Wszystko pójdzie jak z płatka. Poradzisz sobie. Jak zawsze – powiedziała z przekonaniem. Uśmiechnęła się szeroko, szczerze, i westchnęła. – Pamiętaj, że każda historia zawsze ma dwie strony... – dodała. – Czasami to też bywa terapią...

– Wiem.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Zbyszek skubał wargę, Bożena gromiła spojrzeniem męża, a on sam pocierał czoło.

Wróciłam po chwili z kuchni z gorącą herbatą, zaparzoną w dzbanku i talerzem ciasta. Rozłożyłam filiżanki, talerzyki i sztućce.

Kwiatkowski jedną ręką pogładził swoją ciemną tweedową marynarkę, drugą chwycił szklankę. Upił łyk herbaty.

– Przepraszam cię, Małgosiu, za to wymuszenie, ale na pocieszenie powiem, że on nie będzie kłamał. Powie ci prawdę i tylko prawdę, a co się wiąże z tym, że tę prawdę powie również prokuratorowi, choć przyznam szczerze, że tego nie rozumiem. Niezbadana jest natura ludzka. Wojtowicz okazuje się być człowiekiem honoru. – Nałożył sobie na talerzyk ciasta i opuścił na nie wzrok.

– A ja rozumiem... – odpowiedziałam i umilkłam. – Ale nie chcę o tym rozmawiać. Jakoś to przeżyję. Mam jakieś inne wyjście? – Spojrzałam na Jerzego i wykrzywiłam usta. Potem spojrzałam w punkt ponad jego głową i już nie spuszczałam z niego wzroku, co z przykrością zauważył.

– Poparz na mnie, Małgosiu...

– Już patrzę.

Uśmiechnął się, w duchu z pewnością odetchnął głęboko, ale i miał swoje wyrzuty. Widziałam o tym i poniekąd rozumiałam. No niestety, prawda była taka, że policjant w pracy nie mógł mieć zbyt dużo wrażliwości. Daleko by na tym nie zajechał. Jak się ma miękkie serce, to trzeba mieć twardą dupę. A on, póki co siedzi na stołku niekoniecznie miękkim. I chciał z pewnością przenieść się na bardziej wygodny.

– Jak ten czas leci – powiedział po dłuższej chwili milczenia i chrząknął z zakłopotaniem. – Musimy się już zbierać...

Wyszli, a ja oparłam głowę na ramieniu męża.

– Wiem, wiem... – powiedział współczującym tonem.